



Thomas A. Lukaszuk
Agatha Rae

POZDRÓW REAGANA

W 1982 roku Gdynianin Tomasz Łukaszuk pakuje całe życie do jednej walizki i emigruje do Kanady. Trzydzieści lat później zostaje tam wicepremierem.

Spółecznik, polityk, zakochany w obydwu swoich ojczyznach udowadnia, że wszystko jest możliwe.

Thomas A. Lukaszuk
Agatha Rae

POZDRÓW REAGANA



Copyright © Thomas A. Lukaszuk and Agatha Rae, through arrangement
with Renata de La Chapelle Agency, 2026

Copyright for this edition © 2026 by Grupa Wydawnicza Axis Mundi

REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska

REDAKCJA: Aleksandra Zok-Smoła

KOREKTA: Dominika Suma

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Izabela Surdykowska-Jurek

ZDJĘCIA WE WKŁADKACH: z archiwum prywatnego Autora

WYDANIE I

ISBN PRINT: 978-83-8412-556-4

ISBN E-BOOK: 978-83-8412-557-1

ISBN ABONAMENT: 978-83-8412-558-8

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.

Książka wydana dzięki wsparciu finansowemu Miasta Gdyni



Na zlecenie Woblink



woblink.com

plik przygotował Jan Żaborowski

SPIS TREŚCI

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Przedmowa](#)

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Wkładka zdjęciowa

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Thomas A. Lukaszuk. Podziękowania

Agatha Rae. Podziękowania

PRZEDMOWA

Kanada – drugi co do wielkości kraj świata – rozciąga się od atlantyckich wybrzeży Nowej Fundlandii po pacyficzne plaże Kolumbii Brytyjskiej, a na północy sięga aż arktycznych archipelagów. Jej krajobraz to ogromne równiny prerii, majestatyczne pasma Gór Skalistych, gęste, rozległe lasy i tysiące jezior, które od wieków kształtowały życie mieszkańców tego kontynentu. Kraj ten słynie ze swojej dziewiczej przyrody, niezwykłej gościnności, dwujęzyczności (angielski i francuski), a także hokeja i syropu klonowego, które stały się jego symbolami. W historii Kanady splatają się losy rdzennej ludności, francuskich i brytyjskich kolonistów oraz kolejnych fal imigrantów, którzy zbudowali społeczeństwo o wyjątkowo wielokulturowym charakterze.

W tej historii bardzo wcześnie pojawiają się także pierwsi Polacy. Początkowo ich obecność nie miała charakteru masowego i w XVIII wieku objawiała się pod postacią zapuszczających się w te strony pojedynczych kupców czy kartografów. Za jednego z pierwszych polskich emigrantów, których los przywiódł na ziemię późniejszej Kanady, uznaje się Augusta F. Globenskigo. Ten lekarz i aptekarz trafił do Ameryki jako felczer najemnej armii niemieckiej wspierającej Brytyjczyków w walce ze zbuntowanymi kolonistami. Po klęsce w bitwie pod Saratogą postanowił osiąść na stałe w niewielkiej osadzie na przedmieściach Montrealu, gdzie rozwijał własny gabinet oraz aptekę. Stał się w ten sposób pionierem polskiego osadnictwa

oraz polskiej przedsiębiorczości w Kanadzie. Wśród kolejnych Polaków pojawiających się na kanadyjskiej ziemi byli niejednokrotnie weterani wojen napoleońskich oraz późniejszych powstań narodowych. Jednym z nich był Kazimierz Stanisław Gzowski – inżynier, żołnierz powstania listopadowego, a z czasem jeden z najwybitniejszych budowniczych infrastruktury kolonii kanadyjskich. Gzowski odegrał znaczącą rolę w rozwoju sieci kolejowej, pracował przy budowie mostów i dróg, a także był twórcą i pierwszym komisarzem Niagara Parks Commision – agencji rządu prowincjonalnego zajmującej się ochroną przyrody i dziedzictwa historycznego regionu wokół wodospadów Niagara.

Na trwałe w pejzaż Kanady wpisała się również grupa osadników kaszubskich, którzy w drugiej połowie XIX wieku założyli osadę Wilno w prowincji Ontario. Przybyli w poszukiwaniu ziemi i lepszych warunków życia, zachowując przy tym odrębność językową i kulturową. Do dziś Wilno uchodzi za najstarszą polską osadę w Kanadzie, a kaszubskie tradycje są tam pielęgnowane przez lokalną społeczność. Na przełomie XIX i XX wieku liczba polskich imigrantów dynamicznie wzrosła. Najczęściej osiedlali się w prowincjach Ontario, Manitoba i Alberta, gdzie rozwijały się przemysł oraz rolnictwo. Wielu z nich znalazło zatrudnienie przy budowie Kolei Transkanadyjskiej, w kopalniach, tartakach i przy wyrębie lasów. Inni obejmowali gospodarstwa na preriach, tworząc nowe wspólnoty wiejskie i parafialne. Był to czas ciężkiej pracy, ale też stopniowego zakorzeniania się Polaków w strukturze społecznej szybko rozwijającego się kraju. W okresie międzywojennym na terenie Kanady żyło ok. 80 tysięcy Polaków, którzy poza terenami wiejskimi zamieszkiwali także miasta, tworząc największe polonijne skupiska w Winnipeg, Toronto, Montrealu i Quebecu.

Historia polskiej diaspory w Kanadzie nabrała szczególnego dynamizmu w drugiej połowie XX wieku. Pierwsza duża fala powojenna obejmowała żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, byłych więźniów obozów sowieckich, osoby ocalałe z hitlerowskiej zagłady oraz tych, którzy nie mogli lub nie chcieli powrócić do kraju po przejęciu władzy przez komunistów. Wnieśli oni do kanadyjskiego społeczeństwa talent, pracowitość i doświadczenia zdobyte w dramatycznych realiach wojennych. W okresie PRL-u do Kanady trafiali również Polacy będący uciekinierami z komunistycznego świata zza żelaznej kurtyny – wśród nich szczególne miejsce zajmują marynarze, którzy korzystając z postoju statków w portach Vancouver, Halifaxu czy Montrealu, decydowali się zbiec z jednostek i prosić o azyl polityczny. Dla wielu była to niezwykle dramatyczna decyzja, wiążąca się z porzuceniem rodziny. Podejmowano ją jednak w obliczu ograniczeń wolności i szykan doświadczanych w Polsce Ludowej. Choć ich liczba nie dorównywała masowym falom emigracji, historie te odcisnęły trwały ślad w narracji o polskich losach w Kanadzie. Kolejny znaczący napływ miał miejsce w latach 80. XX wieku i był związany z działalnością „Solidarności” oraz represjami stanu wojennego. Do Kanady trafiali wówczas działacze opozycji, intelektualisci, specjaliści i ludzie poszukujący wolności osobistej. Ta fala emigracji przyczyniła się do dalszego wzmocnienia polskich instytucji, stowarzyszeń oraz środowisk akademickich.

Obecnie Polonia kanadyjska stanowi jedną z większych tamtejszych społeczności pochodzenia europejskiego. Szacuje się, że ponad milion mieszkańców Kanady deklaruje polskie korzenie, z czego największe skupiska znajdują się w Ontario – zwłaszcza w aglomeracji Toronto – oraz w Manitobie, Albercie i Kolumbii Brytyjskiej. Polskie parafie, szkoły sobotnie, organizacje kulturalne i media stanowią ważne centra

podtrzymywania języka i tradycji, a jednocześnie są to miejsca, w których kolejne pokolenia łączą dziedzictwo przodków z kanadyjską codziennością

POLACY W KANADYJSKIEJ POLITYCE

Polacy odgrywali istotną rolę w polityce Kanady już od bardzo wczesnych lat państwowości. Jedną z pierwszych tego rodzaju postaci był Aleksander Edward Kierzkowski – powstaniec listopadowy, inżynier, sędzia pokoju i oficer milicji, który po emigracji osiadł w Kanadzie. W 1867 roku został wybrany jako poseł do pierwszego parlamentu (Izby Gmin) Kanady z okręgu Saint-Hyacinthe–Bagot jako członek Liberałów, co czyni go pierwszym parlamentarzystą kanadyjskim polskiego pochodzenia. Kierzkowski angażował się też w rozwój rolnictwa i reformy systemu gruntowego Dolnej Kanady. Równie znaną postacią był inny powstaniec listopadowy, Kazimierz Stanisław Gzowski. Ten wybitny inżynier, po latach pracy przy budowie dróg, mostów i linii kolejowych, zyskał prestiż, który doprowadził go w 1896 roku do objęcia funkcji administratora prowincji Ontario. Jego kariera stała się symbolem możliwości awansu w wielokulturowym społeczeństwie Kanady oraz inspiracją dla kolejnych generacji imigrantów.

Po II wojnie światowej do głosu zaczęło dochodzić nowe pokolenie Kanadyjczyków polskiego pochodzenia, aktywnie włączające się w politykę federalną i prowincjonalną. Jedną z najważniejszych postaci tego okresu był Stanley Haidasz, urodzony w Toronto syn polskich imigrantów. Jako lekarz i działacz społeczny zdobył zaufanie wyborców Partii Liberalnej i wszedł do Izby Gmin, a w latach 60. i 70. stał się jednym z najbardziej rozpoznawalnych polityków polskiego pochodzenia w Kanadzie. W 1972 roku Haidasz został mianowany pierwszym kanadyjskim sekretarzem stanu ds. wielokulturowości, a w 1978 roku trafił

do Senatu jako pierwszy kanadyjski senator polskiego pochodzenia. Haidasz pełnił tę funkcję aż do przejścia na emeryturę w 1998 roku i odegrał kluczową rolę w kształtowaniu polityki imigracyjnej i integracyjnej Kanady, wspierając przy tym mniejszości etniczne i społeczność polonijną.

W XXI wieku do grona wpływowych kanadyjskich polityków polskiego pochodzenia dołączył Thomas Łukaszuk, który przybył do Kanady z rodziną w dzieciństwie. Jego kariera związana jest przede wszystkim z prowincją Alberta, gdzie przez wiele lat zasiadał w legislatywie jako przedstawiciel Partii Postępowo-Konserwatywnej. Łukaszuk pełnił szereg funkcji rządowych, m.in. ministra pracy, ministra edukacji, a także wicepremiera Alberty. Zasłynął jako polityk otwarty na dialog społeczny, zaangażowany w sprawy oświaty, imigracji i rynku pracy.

Dzieje wspomnianych powyżej postaci ukazują nie tylko indywidualne sukcesy, lecz także drogę, jaką przeszła polska społeczność w Kanadzie: od pionierskiej obecności w XIX wieku, przez ugruntowanie pozycji w życiu publicznym w okresie powojennym, po pełnoprawne uczestnictwo w kształtowaniu współczesnej polityki prowincji i państwa. Razem tworzą ważny Rozdział historii kanadyjskiej Polonii – historii budowanej poprzez kompetencje, zaufanie społeczne i konsekwentną pracę dla dobra publicznego.

EMIGRACYJNA HISTORIA THOMASA ŁUKASZUKA

Niniejsza książka stanowi opowieść o emigracyjnym życiu i karierze ostatniej z przywołanych postaci. Tomasz Łukaszuk przyszedł na świat w Wejherowie 5 kwietnia 1969 roku. Dorastał w centrum Gdyni, jego matka angażowała się w działalność opozycyjną w strukturach NSZZ „Solidarność”, a ojciec był marynarzem pływającym na jednostkach

przedsiębiorstwa „Dalmor”. W 1979 roku do rodziny dotarła wiadomość o jego ucieczce ze statku i pozostaniu w Kanadzie. Bogdan Łukaszuk zrealizował w ten sposób swój plan ucieczki na Zachód, o której od dawna marzył. Matce oraz synom udało się dołączyć do niego dopiero po czterech latach.

Pierwsze miesiące po przeprowadzce rodzina spędziła w Sydney, w prowincji Nowa Szkocja, gdzie Tomasz uczęszczał do szkoły i zaczął uczyć się języka angielskiego. Następnie, w poszukiwaniu lepszych możliwości zatrudnienia, rodzina przeprowadzili się do Edmonton w Albercie. Łukaszuk sprawnie przeszedł tam proces asymilacji, szybko zaadaptował się do nowego środowiska i miejscowej kultury. W ten sposób stał się Thomasem Łukaszukiem – urodzonym w Polsce Kanadyjczykiem. Z sukcesami kontynuował proces swojej edukacji, uzyskał licencjat z pedagogiki na Uniwersytecie Alberty i został nauczycielem nauk społecznych w Edmonton Catholic School District. Założył Injured Workers Advocates Inc., małą firmę, która pomagała poszkodowanym pracownikom w dochodzeniu roszczeń z tytułu uszczerbków na zdrowiu doznanych w miejscu pracy. Pomaganie ludziom stało się dla Łukaszuka źródłem wielkiej życiowej satysfakcji i zaczęło kształtować jego kolejne życiowe wybory i projekty.

Z czasem najważniejszą drogą do realizacji tego celu okazała się polityka. W 2001 roku zdecydował się kandydować do Parlamentu Alberty z okręgu Edmonton–Castle Downs, reprezentując Partię Postępowo-Konserwatywną. Jego wynik w wyborach okazał się jednym z najlepszych, dzięki czemu w wieku 32 lat został pierwszym w historii Polakiem urodzonym w Polsce wybranym do parlamentu prowincji. Jako najmłodszy parlamentarzysta aktywnie działał w licznych komisjach i starał się poznać potrzeby wszystkich regionów Alberty. W wyborach w 2004 i 2008 roku

Lukaszuk ponownie uzyskał silne poparcie wyborców, przede wszystkim dzięki zaangażowaniu w poprawę warunków pracy i systemu świadczeń socjalnych. W czasie swojej kadencji jako poseł Lukaszuk zasiadał w 21 komisjach legislacyjnych, przewodniczył sześciu z nich.

W 2010 roku Lukaszuk wszedł w skład rządu premiera Eda Stelmacha jako minister zatrudnienia i imigracji, co dało mu możliwość pogłębienia współpracy z imigrantami i biznesem oraz wykorzystania swoich dotychczasowych doświadczeń w polityce. Wprowadził szereg reform w programach bezpieczeństwa i higieny pracy. W 2011 roku objął tekę ministra edukacji w gabinecie premier Alison Redford. Przedstawił wówczas dziesięciopunktowy program modernizacji systemu oświaty. Projekt przewidywał m.in. lepsze gospodarowanie środkami publicznymi, większą przejrzystość finansową szkół, a także redukcję biurokracji i dokładniejsze analizowanie wyników uczniów.

Dnia 23 kwietnia 2012 roku Lukaszuk po raz czwarty zdobył mandat poselski. Kilka tygodni później, 8 maja, premier Alison Redford mianowała go wicepremierem, przewodniczącym Komisji Wykonawczej Rady Ministrów oraz reprezentantem Alberta w siłach zbrojnych Kanady. Od 4 lutego 2013 roku pełnił dodatkowo funkcję ministra ds. przedsiębiorczości i szkolnictwa wyższego. W lipcu tamtego roku został uznany przez magazyn Alberta Venture za jednego z 50 najbardziej wpływowych mieszkańców prowincji. Po zakończeniu swojej kariery w rządzie Lukaszuk nie zaprzestał aktywnej działalności na rzecz dbania o interesy Alberta. W 2025 roku stanął na czele obywatelskiej inicjatywy Forever Canadian sprzeciwiającej się odłączeniu prowincji od Kanady.

Thomas Lukaszuk, poza swoją działalnością polityczną, jest również znany ze swojego zaangażowania na rzecz pomocy społecznej i humanitarnej. W 2022 roku Thomas Lukaszuk i Ed Stelmach

zorganizowali największą w Kanadzie akcję pomocy zagranicznej, której celem było zebranie zaopatrzenia i wysłanie go na front wojny na Ukrainie, aby pomóc żołnierzom i cywilom. Prowadzona przez nich akcja darowizn pozwoliła zebrać 35 milionów dolarów na artykuły ratujące życie, które wysłano do Polski. W ramach tej samej akcji udało się także sprowadzić 67 ukraińskich uchodźców do Edmonton. W rezultacie tych działań 14 listopada 2022 roku Ministerstwo Spraw Zagranicznych Federacji Rosyjskiej zakazało Lukaszukowi wjazdu do Federacji Rosyjskiej. W 2023 roku Thomas zorganizował transport humanitarny trzech kontenerów wypełnionych ratującą życie pomocą medyczną, artykułami dla dzieci i żywnością dla dzieci z Gazy.

Lukaszuk stał się rozpoznawalną postacią życia publicznego Alberty dzięki wyjątkowej ścieżce kariery – od imigranta po wicepremiera prowincji. Jego kariera uchodzi za przykład imponującej mobilności społecznej i sukcesu osiągniętego dzięki ciężkiej pracy, aktywności obywatelskiej i byciu sprawnym liderem. Docenia się go za energię, rzetelność, a także umiejętność współpracy i budowania relacji. Za swoje zasługi dla Alberty otrzymał liczne odznaczenia, w tym Order of St. John, Queen's Diamond Jubilee Medal, Queen's Golden Jubilee Medal oraz Alberta Centennial Medal. Gdynianin aktywnie wspiera społeczność polonijną w Edmonton, regularnie uczestniczy w wydarzeniach organizowanych przez miejscowych Polaków, udziela się w licznych polonijnych inicjatywach oraz organizacjach. Nieustannie zabiega na rzecz zbliżenia między Polską a Kanadą i promuje kontakty Alberty z Polską.

Postać Lukaszuka została także doceniona przez Muzeum Emigracji w Gdyni. W 2017 roku znalazł się w galerii najbardziej znanych Kanadyjczyków polskiego pochodzenia prezentowanych na organizowanej przez MEG wystawie *Polacy w kanadyjskiej mozaice. 150 lat historii*.

Thomas osobiście odwiedził także gdyńskie muzeum, aby przekazać pamiątki związane z kanadyjską Polonią. Przy kolejnej wizycie w 2025 roku jego emigracyjna historia została zarejestrowana w formie wywiadu w ramach prowadzonego przez placówkę projektu archiwum historii mówionej „Archiwum Emigranta”.

Po zakończeniu kariery politycznej Łukaszuk działa w sektorze prywatnym i organizacjach społecznych, a w Kanadzie nadal postrzegany jest jako inspirujący przykład udanej integracji i wpływu, jaki imigrant może wywrzeć na życie publiczne kraju. Jego życiorys to niesamowita, obfitująca w wiele ciekawych zdarzeń historia. Młody, zaradny, zahartowany przez rzeczywistość PRL-u człowiek trafia nagle za „żelazną kurtynę”, tysiące kilometrów od domu i zaczyna nowe życie. Chłopak z Gdyni staje się Kanadyjczykiem i przekazuje swojej nowej ojczyźnie wszystkie talenty, które w nowej rzeczywistości mają szansę wydać wyjątkowe owoce. Niniejsza książka w fascynujący sposób ukazuje tę niezwykłą drogę.

dr Łukasz Podlaszewski
kierownik Działu Wystawy Stałej
Muzeum Emigracji w Gdyni

Grudniowa noc. Mama szyje, jak zawsze. Wracam ze szkoły – szyje. Leżę w łóżku, wciśniętym w kąt małej kuchni naszej kawalerki – szyje. Stukot maszyny i chrobot nożyc, krojących materiał rozłożony na sosnowym stole, to dźwięki najmocniej definiujące moje dzieciństwo spędzone w Gdyni. Mama ma czarnego Singera zdobionego złotymi literami. Na słuch potrafię rozpoznać, którego ściegu właśnie używa; prosty brzmi zupełnie inaczej niż zygzakowaty. Grudzień to wyjątkowo obłożony miesiąc, wiele klientek zamawia nowe stroje na święta i sylwestra.

Jest sobotni wieczór, jedyny w tygodniu, kiedy mogę kłaść się później. Adam, mój młodszy brat, już dawno śpi, ale ja czytam. Regularnie chodzę do biblioteki na ulicy Warszawskiej, niedaleko naszego bloku, i wypożyczam wszystkie książki marynistyczne, jakie tylko mają. Pani bibliotekarka zna bardzo dobrze moje upodobania, za każdym razem poleci coś ciekawego. Czasami, gdy miasto spowija mgła, a ja akurat zatracam się w lekturze, sygnały nautofonu stają się idealnym tłem dla historii, które właśnie pochłaniam. Nautofon swoim niskim dudnieniem wypełnia gdyński port po same brzegi, powiadamia nawigatorów o potencjalnym zagrożeniu, a statki, niczym grająca w tle orkiestra, akompaniują tym basowym koncertom. Uwielbiam ten moment, gdy wdziera się do naszego mieszkania, tworząc naturalną ścieżkę dźwiękową do czytanej przeze mnie powieści. Jeden ryk oznacza, że należy mijać się lewą burtą, dwa, że z prawą, trzy – że statek powinien zawrócić.

Odkładam książkę i szykuję się do snu. Mieszkanie nadal wypełnia turkoczący odgłos maszyny do szycia. Dla kogo mama właśnie szyje? Może dla tej starszej pani, która zwróciła się do niej z prośbą o zaprojektowanie i wykonanie idealnej sukienki do trumny? Nie wydaje mi się, żeby umierała, ale ma konkretny pomysł na to, jak powinna wyglądać, kiedy bliscy przyjdą ją pożegnać. W Polsce należy trzymać fason

nawet po śmierci! Leciwa klientka przychodzi do naszego mieszkania, zakłada przygotowywaną brązową suknię, po czym kładzie się na kanapie, a mama trzyma nad nią lustro. Gdy przymiarka dobiega końca, nanosi konieczne poprawki.

Pogrzeby to ważne wydarzenie. Rodziny wydają niemałe pieniądze na trumny, nagrobki, a nawet ubrania dla nieboszczyków. Kiedy zmarł mój pradziadek, prababcia kupiła mu nową bieliznę i garnitur. Gdy leżał w trumnie, wsunęła mu rękę pod nogawkę, żeby sprawdzić, czy na pewno ma kalesony – chowaliśmy go zimą, trzeba mieć pewność, że nie zmarznie! Mama, Halina Łukaszuk, zdejmuje nogę z pedału i maszyna się zatrzymuje. Po chwili słychać obijające się o siebie wieszaki – odwiesza suknię, nad którą pracowała. Niedokończone jeszcze ubrania i bele materiałów leżą w różnych miejscach mieszkania. Mama ma sporo klientek, ale ani jednego manekina, więc co jakiś czas prosi mnie, żebym zakładał sukienki, zaznacza na nich coś kredą i wbija szpilki. Godzę się, choć z oporem, bo mnie przy tym zwykle niechęć pokłuje. Gdy klientka przychodzi na przymiarke, mama każe mi i Adamowi wychodzić z domu – w naszym mieszkaniu jest tylko jeden pokój, a panie muszą mieć możliwość swobodnego przebrania się.

Wyrzucam z głowy myśli o pani, która wybiera się w zaświaty, bo dostaję od nich gęsiej skórki, i skupiam się na tym, że jutro jest niedziela, a to oznacza wizytę u babci Klary i dziadka Janka. Mieszkają na obrzeżach Wejherowa, co tydzień jedziemy tam kolejką podmiejską i spotykamy się z rodzeństwem mamy, jej trzema siostrami i dwoma braćmi, oraz moimi kuzynami na obiedzie, na który każdy z nas coś przynosi. W sklepach jedzenia jest niedużo, więc na wspólny posiłek zrzucamy się wszyscy. Mamie się poszczęściło, kilka dni temu udało jej się kupić od pracującej

w restauracji koleżanki woreczek mielonej kawy. Prawdziwy rarytas! Dziadkowie ucieszą się, do ciasta będzie jak znalazł.

W czasie, gdy babcia gotuje, niektórzy z nas udają się do kościoła na sumę, inni idą na spacer do lasu. Po drodze zatrzymują się na cmentarzu i sprzątają rodzinne groby. Mnie czekają jutro inne zajęcia – będę pomagać dziadkowi w warsztacie, który urządził sobie w piwnicy domu. Zawsze razem majsterkujemy, trzeba na przykład przygotować rowery na wiosnę, przesmarować je, wyczyścić. Są to tak pilne prace, że prawie nigdy nie udaje nam się zdążyć na mszę! Babcia doskonale wie, że celowo wymigujemy się od chodzenia do kościoła, że to nie przypadek, iż akurat w niedzielę mamy do zrobienia coś niecierpiącego zwłoki. Nic nie mówi, kręci tylko głową z niezadowoleniem. Dziadkowie ze strony taty, Julia i Edward, również mieszkają w Wejherowie, ale w samym centrum miasta. Bywa, że przyjeżdżam do nich na noc, ale rodzinny czas spędzamy przede wszystkim u rodziców mamy, to z nimi mamy znacznie silniejszą więź. Czasami wpadają do nas na kawę siostry mamy. Rozmawiają głównie o tym, co słychać w rodzinie, o kolejkach w sklepach lub gdzie można dostać kawę na sucho – zmieloną, zawiniętą w serwetkę porcję do zaparzenia w domu, którą czasami można kupić w restauracji czy kawiarni.

– Tomek! Tomek, wstawaj! – Mama potrząsa moją ręką. Mówi stanowczo, ale cicho, żeby Adam się nie obudził. Już niedziela? Niemożliwe. – Meble się trzęsą, chodź szybko, pomóż mi!

Faktycznie, biblioteczka i szafka ze szklanymi drzwiczkami, za którymi stoją bardziej okazałe naczynia i kryształowe kieliszki, a także pamiątki ojca z rejsów, całe drżą. Za oknem słychać złowrogie dudnienie i ryk ciężkich pojazdów. Spoglądam na zegarek – dwadzieścia minut po północy. Co się, u licha, dzieje?!

Nagle z klatki schodowej dobiega niespotykany o tej porze gwar. Może trwa ewakuacja? To pierwsze, co przychodzi mi do głowy. Przypominam sobie opowieści babci o tym, że gdy zbliżał się niemiecki nalot, trzeba było zbiegać do piwnicy. Nasz blok ma osiem pięter, na każdym są dwa mieszkania. Myślę o klubie, który zrobiliśmy sobie z kolegami w bunkrze w bloku obok. Można do niego przejść przez naszą piwnicę. Czuję ulgę – wiem, gdzie możemy się z mamą i Adamem schować.

Zostawiamy mojego brata w mieszkaniu i wychodzimy na korytarz, na którym zastajemy tłum, na klatkę wyszli chyba wszyscy sąsiedzi. Już wiemy, dlaczego wszystko się trzęsie – ulicą jadą kolumny czołgów i pojazdów opancerzonych! Obserwujemy je przez okienka na klatce schodowej. Wojna?!

Widzę rodziców moich koleżanek i kolegów, między innymi panią Krasucką, zawsze nienagannie ubraną mamę Ani, której mąż zginął, gdy wracał do domu – wychylił się przez barierki na klatce schodowej i runął w dół. Akurat wracaliśmy z Anią z jazdy na rowerze. Wszedłem pierwszy do klatki schodowej i zobaczyłem zbiegowisko oraz leżące nieruchomo ciało. Potwornie się przestraszyłem, ale zachowałem się na tyle przytomnie, że, chcąc oszczędzić Ani traumatycznego widoku, namówiłem ją na jeszcze jedną przejażdżkę. Gdy wróciliśmy z powrotem, ciało pana Krasuckiego zabierała właśnie karetka. Upiorną pamiątką tej tragedii stało się uszkodzenie widoczne na gumowej osłonie poręczy, tam, gdzie ciało odbiło się od barierki. Jeszcze długo, biegnąc w pośpiechu po schodach, odrywałem w tym miejscu rękę od poręczy.

Widzę też panią Kaczyńską, mamę opóźnionego w rozwoju Mirka, jak i mieszkające pod nami małżeństwo. Ludzie są nerwowi, głośno rozmawiają, przekrzykują się, co chwila przybliżają rozpalone twarze do okien i z niepokojem patrzą na ulicę. Nigdy jeszcze nie widziałem

podobnego zamieszania. Klatkę schodową wypełnia zwykle zapach gotowanych potraw. Często zatrzymuję się przy mieszkaniach, wącham i staram się odgadnąć, co tam pichcą na obiad. Mama Ani, gdy mnie widzi, częstuje kawałkiem ciasta. Tej nocy jednak swojska atmosfera wydaje się odległym wspomnieniem. Sąsiedzi tkwią na poszczególnych piętrach ubrani w szlafroki i piżamy. Część ludzi nie wyszła z mieszkań, tylko ma uchylone drzwi i nasłuchuje. Wyczuwam nieznane mi dotąd napięcie. Wielu lokatorów przeżyło wojnę, ci z pokolenia moich rodziców pytają ich, co teraz będzie.

„Co się dzieje? Czy ktoś coś wie? Ruscy do nas wjechali?” To pytanie wzbudza we mnie szczególną grozę. Babcia Klara często opowiadała mi, że o ile Niemcy byli brutalni, o tyle Sowieci byli potworami w ludzkiej skórze, a morderstwa, gwałty i rabunki z ich strony były na porządku dziennym. Czy teraz tak właśnie będzie? Same pytania, żadnych odpowiedzi.

Roztrzęsieni ludzie spoglądają na siebie. Nie ufają sąsiadowi, który mieszka kilka pięter niżej.

– To partyjniak! Trzeba na niego uważać, na pewno zaraz doniesie ubecji, że tu wszyscy stoimy i rozmawiamy! Kto wie, czy nas nie podsłuchuje! Może notatki robi! Trzeba uważać! – słyszę z kilku stron naraz.

– Mój telefon nie działa! U państwa też? – Jeden z sąsiadów wybiega z mieszkania. Na moment ci, którzy mają przywilej posiadania aparatu w domu, rozpierzchają się.

– U mnie też nie! – krzyczą panicznym głosem.

Nas to nie dotyczy, jesteśmy na liście czekających na założenie telefonu, dostaniemy go nie wcześniej niż za dziesięć lat.

W mieszkaniach w sąsiednich blokach też palą się światła. Tkwię przyklejony do okna, patrzę na ulicę Czerwonych Kosynierów. To główna

arteria Gdyni łącząca ją ze Szczecinem, Gdańskiem i Warszawą, zmieniająca się dalej w drogę ku wschodniej granicy. Teraz widzę na niej tylko milicyjne radiowozy, czołgi i ciężkie pojazdy, nic więcej.

Mama obejmuje mnie ramieniem. Widzę, że się boi, ja również zamarłem ze strachu, ale staram się nie dać tego po sobie poznać. W końcu jestem harcerzem, mężczyzną odpowiedzialnym za dom, muszę być dla niej wsparciem, to jest moje zadanie.

Ludzie powoli rozchodzą się do mieszkań.

– Chodź, Tomek, czas spać, może jutro coś będzie wiadomo – mówi w końcu mama. Jest zdenerwowana i zmęczona, tak samo jak i ja.

Wstaję ociężale po zarwanej nocy, ale mama zachowuje się tak, jakby nic się nie stało. Zimą zawsze przygotowuje ciepłe, rozgrzewające śniadanie: jajecznicę albo owsiankę. Dziś serwuje moją ulubioną zupę mleczną z kluskami i kromki chleba z dżemem. Jakby to był zwykły poranek, jakby w nocy nie wydarzyła się apokalipsa. Uchylam okno i witam gołębia Kubusia, który przylatuje do nas codziennie o tej samej porze i teraz też czeka na swoje śniadanie. Na zajęciach z techniki zrobiłem dla niego karmnik. Nie jest może zbyt ładny, ale rozpiera mnie duma, że to moje dzieło. Wsypuję Kubusiowi trochę okruchów pod daszek.

– Adam, już prawie dziewiąta, zaraz zacznie się *Teleranek* – mówię do brata. Czekamy na ten moment cały tydzień. W telewizji jest tylko jeden kanał, a w nim niemalże same programy dla dorosłych, dlatego niedzielny *Teleranek* i jego czołówka z piejącym, wzywającym dzieci przed telewizory kogutem to nasz ulubiony moment. Po programie spotykamy się zwykle z kolegami i koleżankami na podwórku i omawiamy dopiero co zakończony odcinek. Tylko choroba i śmierć mogłyby nas powstrzymać przed obejrzeniem *Teleranka*. Choroba, śmierć i stan wojenny.

– No i kiedy się zacznie? – Adam się niecierpliwi.

– Nie mam pojęcia – odpowiadam zaskoczony.

Na ekranie zamiast koguta jest ubrany w wojskowy mundur Wojciech Jaruzelski, prezes rady ministrów i minister obrony narodowej w jednej osobie. Siedzi za biurkiem, za nim widać sztandary. Posępnym tonem wygłasza przemówienie. Mówi o strajkach i burdach ulicznych, o „Solidarności”. Oskarża siły wywrotowe o szykowanie rebelii, a na to on nie może się zgodzić.

– Obywatelki i obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej! Zwracam się dziś do was jako żołnierz i jako szef rządu polskiego. Zwracam się do was w sprawach wagi najwyższej. Ojczyzna nasza znalazła się nad przepaścią. Dorobek wielu pokoleń, wzniesiony z popiołów polski dom ulega ruinie. Struktury państwa przestają działać. Gasnącej gospodarce zadawane są codziennie nowe ciosy. Warunki życia przytłaczają ludzi coraz większym ciężarem. Przez każdy zakład pracy, przez wiele polskich domów, przebiegają linie bolesnych podziałów. Atmosfera niekończących się konfliktów, nieporozumień, nienawiści sieje spustoszenie psychiczne, kaleczy tradycje tolerancji. Strajki, gotowość strajkowa, akcje protestacyjne stały się normą. Wciąga się do nich nawet szkolną młodzież.

Jestem przedstawicielem tej szkolnej młodzieży i nikt mnie w nic nie wciągał. Wręcz przeciwnie, sam chętnie pomagam mamie roznosić solidarnościową bibułę. Nie zawsze czytam, co jest w niej napisane, ale czuję się wtedy jak młody powstaniec.

Niedawno, podczas strajku w Stoczni, uczniowie zadeklarowali, że będziemy nosić białe-czerwone opaski na ramieniu, na szkolnych mundurkach. Namówiłem mamę, aby uszyła nam kilkadziesiąt. Miała pewne obawy, ale się zgodziła. Akcja nie trwała zbyt długo, bo po paru dniach dyrektor, pan Kreft, je skonfiskował. Chciał wiedzieć, skąd je mamy, ale nikt nie sypnął. Później wpadliśmy na pomysł, by przypinać sobie do

mundurków oporniki, wzorem dorosłych, którzy w ten sposób wyrażali swój sprzeciw wobec polityki rządu. Mój wujek Marian, zajmujący się w wolnych chwilach naprawą telewizorów, był najlepszym źródłem zaopatrzenia w oporniki wszelkiej maści: i takie bardziej kolorowe, i takie w paski. Handlowaliśmy nimi wśród znajomych, ale pan Kreft również za to nas ścigał i zabierał symbole naszego buntu.

Jaruzelski zwraca się do nas jako do „braci i sióstr”, mówi, że gwarantem spokoju i naszej przyszłości jest komunizm, socjalizm i braterstwo ze Związkiem Radzieckim. Patrzymy z mamą to na siebie, to na telewizor. Myślimy o tym samym – czy Sowieci wjadą do Polski? Przemówienie pierwszego sekretarza Partii tylko podsyci opór, a wtedy oni tu wtargną i rozpętają wojnę domową. Zerkamy na Adama – nic z tego nie rozumie, jest jedynie rozczarowany brakiem Teleranka.

Generał mówi, że ukonstytuowała się Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego, akurat wtedy, gdy mama szyła sukienkę dla starszej pani na pogrzeb. Teraz pogrzebany może zostać cały kraj.

W końcu padają słowa o stanie wojennym.

– Mamo, czyli co? Już nas najechali? Stan wojenny znaczy wojna, tak?

– Nie wiem, Tomku, cicho! Słuchajmy!

Jaruzelski przedstawia kilka zasad, które teraz będą obowiązywać w kraju, ale słowa o stanie wojennym tak mnie przeraziły, że nie słyszę już niczego więcej. Mama chwyta mnie mocno za rękę i cicho płacze.

Stan wojenny, stan wojenny, stan wojenny...

– Trzeba powiedzieć: dość! Trzeba zapobiec, zagrozić drogę konfrontacji, którą zapowiedzieli otwarcie przywódcy „Solidarności”. Musimy to oznajmić właśnie dziś, kiedy znana jest bliska data masowych politycznych demonstracji, w tym również w centrum Warszawy, zwołanych w związku z rocznicą wydarzeń grudniowych. Tamta tragedia

powtórzyć się nie może. Awanturnikom trzeba skrepować ręce, zanim wtrącą ojczyznę w otchłań bratobójczej walki. Obywatelki i obywatele! Wielki jest ciężar odpowiedzialności, jaka spada na mnie w tym dramatycznym momencie polskiej historii. Obowiązkiem moim jest wziąć tę odpowiedzialność. Chodzi o przyszłość Polski, o którą moje pokolenie walczyło na wszystkich frontach wojny i której oddało najlepsze lata swego życia.

Właśnie się dowiedziałem, że nie pojedziemy dzisiaj do dziadków i w ogóle nie wiadomo, kiedy się z nimi zobaczymy. Jestem załamany.

– Nie odwiedzimy dziś babci – mówię bratu i nie mam pojęcia, jak mu wytłumaczyć dlaczego. Co taki brzdąc zrozumie z tego, że mamy w Polsce stan wojenny? Co ja sam rozumiem z tego, co się dzieje? Co rozumie mama? Wiem tylko, że dziadkowie będą się o nas martwić – mieszkamy w pobliżu strategicznie ważnych portu i dworca kolejowego, więc to na naszym rejonie skupi się władza chcąc zgnieść opór obywateli, przynajmniej tak się mówi. W Wejherowie jest dziś na pewno spokojniej i bezpieczniej niż u nas.

Cóż, jeżeli nie ma *Teleranka*, to mogę rozejrzeć się, co dzieje się na mieście – beczynne tkwienie w domu doprowadza mnie do szaleństwa. Mam nadzieję, że wpadnę na kilku kumpli, jak to w niedzielę. Zwykle trochę kopujemy piłkę, idziemy na nabrzeże albo siedzimy na ławce pod blokiem i rozmawiamy o szkole, dziewczynach, o tym, kto się ostatnio wdał w bójkę, i o *Teleranku*. Zimą jeździmy na łyżwach albo chodzimy na sanki. Jeżeli tylko spotkam kolegów, to może ten poranek będzie mimo wszystko chociaż odrobinę normalny?

Niestety, nikogo nie ma. Dlaczego? Czy koledzy nie są ciekawi, co się dzieje? A może rodzice nie wypuszczają ich z domu?

Nad miastem wisi niepokojący bezruch. Jest cicho jak nigdy. Każde miasto ma swój unikalny dźwiękowy podkład, własną charakterystyczną melodię. Na miejską partyturę Gdyni składają się pogwizdy pociągów, warkot samochodów, świszczące pantografy trolejbusów przesuwające się po trakcji, stuki i puki dochodzące ze Stoczni im. Komuny Paryskiej, zgrzytające portowe dźwigi i suwnice, dudniące tyfony okrętowe, skrzeczące na niebie mewy. Jestem tak przyzwyczajony do wydobywającego się z peronowych głośników głosu zapowiadającego przyjazdy i odjazdy pociągów, że zwykle nie zwracam na niego uwagi. „Pociąg pasażerski do Warszawy przez Gdańsk i Toruń odjedzie z peronu czwartego o godzinie 10:44”. Dziś nic nie słychać, powietrze wypełnia jakaś martwota. Jedyne towarzyszący mi dźwięk to skrzypienie śniegu pod butami. Zima jest w tym roku niespotykane śnieżna, w dodatku jest przejmująco mroźnie. Przez noc spadło dużo białego puchu, ale nie widzę śladów niczych kroków.

W normalną niedzielę ulice wypełniałby tłum ludzi wychodzących regularnymi falami z podziemnego przejścia po każdym przyjeździe pociągu lub kolejki miejskiej. A cóż dopiero w ciągu tygodnia! Dorośli wciąż spieszą się na przesiadki na autobusy lub trolejbusy. Łatwo rozpoznawalni są ci, którzy właśnie skończyli zmianę w porcie – trzymają pod pachą zawiniętą w gazetę zdobycz z zakładu pracy: a to rurkę, której potrzebują do naprawienia zlewu w kuchni, a to łożysko, które przyda się w pralce, lub łańcuch do roweru. Nikt nie uważa, że to kradzież, bo tych rzeczy nigdzie nie można kupić. Ludzie zawsze obiecują znajomym, że im „coś załatwią”, co zwykle oznacza wyniesienie czegoś ze swojego zakładu pracy. Nikt się tym nie przejmuje, robią to wszyscy, włącznie z kierownikami. Nie ma prywatnych zakładów, tylko państwowe, a jak coś należy do wszystkich, to tak naprawdę do nikogo.

Nie inaczej jest w naszej rodzinie. Mamy w mieszkaniu co najmniej kilka „załatwionych” rzeczy – tłuczek do mięsa i tasak, które zrobiono dla nas w gdańskiej stoczni, czy moje ukochane czarne płetwy na basen z logo Marynarki Wojennej. Koledzy chcą je ode mnie pożyczyć, bo takich nie ma w sklepach. Zgadzam się, ale na zasadzie transakcji wymiennej – szczególnie liczę na to, że będzie nimi zainteresowany Mariusz, bo Mariusz ma mały zestaw klocków Lego, który dostał od rodziny mieszkającej w Szwecji, i wszyscy chcą się z nim wymieniać.

Przez chwilę zastanawiam się, czy nie powinienem wrócić do domu. Nie powiedziałem mamie, że wychodzę, może mnie szuka? Nie, raczej się o mnie nie martwi. Wszyscy rówieśnicy, których znam, mają dużo swobody. Nawet gdy byłem dużo młodszy, rodzice pozwalali mi nawet samemu jeździć do dziadków kolejką. Trzydzieści pięć kilometrów za Gdynię!

Wejherowo to stare, mające kilkaset lat miasto, z rynkiem, ratuszem i rozległym parkiem. Moja mama, ja i Adam urodziliśmy się w tutejszym szpitalu, który nie był większy od małej kamienicy. Mama w 1945 roku, ja w 1969, a mój brat w 1976. Na rynku postawiono wielki pomnik dwóch niedźwiedzi polarnych, tylko niby co Wejherowo ma wspólnego z tymi zwierzętami? Czegokolwiek by nie miało, pomnik jest idealny, by się na niego wdrapywać na wyścigi z kuzynami!

Moje kuzynostwo w Wejherowie jest bardzo religijne, do tego stopnia, że w przyszłości jeden kuzyn wstąpi do franciszkanów, a kuzynka zostanie zakonnicą. Teraz lubię chodzić z nimi i ciocią na mszę, ale przede wszystkim dlatego, że w piwnicy kościoła klasztornego wyeksponowano ludzkie czaszki i trumny rodziny Wejherów. Fascynujące! Inne atrakcje, które sobie upodobałem, to trochę dziki, gęsty park i rzeka Cedron, w której

niejednokrotnie pływamy z kuzynami, ale te kąpiele nie dorastają do pięt pluskaniu się w Bałtyku!

Po okolicy wozem zaprzęgowym jeździł mężczyzna, który zbierał stare szmaty i butelki. Dzieci mu je przynosiły, a w zamian dostawały lizaki. Układ na wagę złota, bo słodyczne trudno dostać.

Pewnego dnia, gdy miałem cztery, może pięć lat, dziadek Edward zapytał mnie przy swoich kolegach z Wyższej Szkoły Morskiej, kim chcę być, kiedy dorosnę.

– Zobaczycie, jaki to mądry i rezolutny chłopak – dodał z przechwałą w głosie, licząc, że odpowiem jak podczas naszych rozmów: kapitanem albo architektem, co napawało go szczerą dumą. Tymczasem ku zaskoczeniu dziadka wypaliłem:

– Jak to kim? Babcia kupi mi konia, ty wóz i będę zbierał szmaty i butelki!

Ależ się dziadek zdenerwował! A koledzy pokładali ze śmiechu!

Myślę o tym, że nie kursują żadne pociągi i nie wiadomo, kiedy zaczną, a to oznacza, że nie mam pojęcia, kiedy znów zobaczę się z dziadkami. Czy spędzimy z nimi Boże Narodzenie? Raczej nie. To już za dwa tygodnie, do tego czasu najpewniej nic się nie zmieni.

Czuję żal. Na święta zawsze się czeka. Wszyscy przynoszą jakieś trudno zdobyte delicje, babcia gotuje, w całym domu pachnie pomarańczami, które dostać można tylko w tym czasie, podobnie jak orzechy włoskie. Łamiemy się opłatkiem, zasiadamy do barszczu, karpia i przepysznego sernika. Z tymi karpiami to często są przygody – któregoś razu mama kupiła żywą rybę i trzymała przez kilka dni w wannie. Aby się umyć, chodziliśmy do sąsiadów, co było uciążliwe, ale gdy nadszedł czas, by go zabić i przyrządzić, przeżyłem straszny dramat. Pod choinką czekają na nas prezenty, najczęściej słodyczne i inne smakołyki. Zabawek nie

dostajemy, raczej książki. I dobrze, dla mnie to podarunek najlepszy z możliwych. Później wszyscy idziemy na pasterkę, a po powrocie dojadamy resztki z kolacji i śpiewamy kolędy.

Chciałbym dać babci znać, że u nas wszystko w porządku, ale w całym kraju wyłączono telefony.

Uliczki i chodniki między blokami są nieskazitelnie białe, ale Czerwonych Kosynierów wygląda zupełnie inaczej. Ciężka artyleria rozjechała śnieg i zerwała asfalt, zostawiając za sobą kompletnie zdewastowaną ulicę. Idę nieco dalej i na skrzyżowaniu z Warszawską dostrzegam czołg. Zamieram – jeszcze nigdy nie widziałem z bliska czegoś takiego. Jego lufa skierowana jest w stronę dworca kolejowego. Nie rusza się, złowrogo milczy.

Niedaleko niego stoją dwa milicyjne auta. Kilku funkcjonariuszy ogrzewa się w tańczących językach ognia rozpalonego w metalowej beczce. Zmarzli, bo pojawili się w tym miejscu już w środku nocy. Z ich ramion zwisają karabiny. W Gdyni stacjonuje Marynarka Wojenna, nieraz widziałem służących w niej żołnierzy, ale oni nigdy tak nie wyglądali.

Takich małych, prowizorycznych obozowisk jest więcej. Wiem, gdzie są, bo zdradzają je chmury dymu wydobywające się z kadzi podobnych do tej, którą widzę. Wokół nich wianuszki zomowców szykują się do poskromienia ewentualnych zamieszek.

Przechodzę obok mojej Szkoły Podstawowej nr 2 imienia Gdyńskich Kolejarzy. Nigdy nie mogłem pojąć tego osobliwego patronatu – nie mamy niczego wspólnego z koleją, nie przysługują nam nawet darmowe bilety na pociągi. Teraz to i tak już nieważne, żadne pociągi nie kursują. Placówka jest zamknięta, ale w końcu dziś niedziela. Gorzej, że jutro jej nie otworzą i nie wiadomo, kiedy to nastąpi. To długi, wąski budynek sprzed drugiej wojny światowej. Na jego końcu znajduje się sala gimnastyczna, w której

poza drabinkami na ścianach i pojedynczymi materacami nie ma żadnego sprzętu. Na zewnątrz wybetonowano boisko do gry w piłkę. Gramy na nim czasem do późnego wieczora, a do domu wracamy z pozdzieranymi kolanami. Ojciec jednego z kolegów „załatwił” nieco fluorescencyjnej farby ze stoczni. Pomalowaliśmy nią piłkę i dzięki temu mogliśmy grać jeszcze dłużej, wystarczyło tylko co jakiś czas wystawiać ją pod latarnię, żeby nabrała blasku.

A co się stanie z zajęciami na basenie? Przecież są obowiązkowe, chodzimy na basen Arki Gdynia co czwartek. Ich też już nie będzie? Niby powinienem się cieszyć, że nie muszę chodzić do szkoły, ale szczerze pragnę, by wszystko wróciło do normy. Obecna sytuacja wzbudza we mnie złość i lęk.

Wracając do domu, mijam na ulicy Wolności drewniany, zielony sklepik ze słodyczami. Prowadzi go jego żydowski właściciel, który ma wszystkie frykasy, jakie tylko można sobie wymarzyć. Mama daje mi czasami kilka złotych, żebym kupił sobie u niego coś dobrego. Przy okazji dostaję coś ekstra. Pan jest bardzo miły, często rozmawia z dziećmi, pyta, jak nam idzie w szkole. Dziś sklepik jest zamknięty, a właściciela nigdzie nie widać. Pewnie siedzi w domu i martwi się o swój los.

Kwiaciarnię przy naszym bloku obsługuje koleżanka mamy. Na Dzień Kobiet albo na Dzień Nauczyciela mama przykazuje mi tam kupić goździki lub róże. Ale przecież kilka minut jazdy rowerem od naszego domu jest cmentarz na Witominie, a tam rośnie całe mnóstwo kwiatów, i to zupełnie za darmo! Wszyscy są zadowoleni z naszego sprytnego procederu: i obdarowani bukietami, i my, pędzący z kolegami do sklepu po słodycze za zaoszczędzone pieniądze.

Kwiaciarnia jest otwarta w niedziele, ale nie dziś. Dziś nikt nie potrzebuje kwiatów, bo przecież ani nie pójdzie w odwiedziny, ani nie

wyberze się na cmentarz. Biorę głęboki oddech, czuję, jak zimne powietrze wypełnia moje płuca tak dogłębnie, że aż bołą. Uśmiecham się pod nosem – jednego ten cały stan wojenny nigdy nie zmieni. Zapachu morza.

Gdy wyjadę z Polski, najbardziej będzie mi brakowało Bałtyku.

Stan wojenny trwa już kilka miesięcy. Jest chłodny, deszczowy dzień, a ja spaceruję po plaży. Niedaleko mnie piętrzą się stojaki z ułożonymi na nich do góry dnem kolorowymi łódkami z drewna lub z włókna szklanego. Kucam pod nimi, żeby schronić się przed pluchą, i patrzę na niespiesznie sunące po morzu fale. W oddali słyszę przekomarzające się jak zwykle mewy. Nieraz z kumplami kupujemy sobie smażoną flądę, pałaszujemy ją z tekturowego talerzyka, zagryzając kawałkiem chleba i popijając cytrynadą z przekłutego słomką foliowego woreczka.

Dzisiaj jestem sam. Muszę pomyśleć.

Zejście ojca ze statku uruchomiło zegar, który swoim głośnym tykaniem bezlitośnie odmierza koniec mojego życia w Gdyni. Słyszę go nawet tu, spod łódek. Ile jeszcze dni mi zostało? Ile tygodni? Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że zbliża się moment, gdy wyjedziemy z mamą i Adamem do Kanady. Czy kiedyś jeszcze zobaczę moje miasto? Czy jeszcze tu wrócę? Tak bardzo nie chcę wyjeżdżać! Mam ochotę krzyknąć w stronę morza: „Zostaję tu, słyszysz?! Nigdzie się nie wybieram!”. Zamiast tego zaciskam tylko pięści. Wypełnia mnie rozpacz i złość, wiem, że w żaden sposób nie dam rady zapobiec temu, co nastąpi – zostanę wyrwany z korzeniami i w żaden sposób nie zdołam temu zapobiec.

W oddali widzę statki, które czekają na redzie na wejście do portu. Myślę o dziadku Edwardzie, który jest kapitanem „Oceanografu 1”, jednostki hydrograficznej służącej naukowcom do morskich badań,

studentom gdyńskiej Wyższej Szkoły Morskiej do odbywania praktyk, a mnie do ucieczki przed światem. Gdy jest w porcie, stoi przycumowany przy nabrzeżu obok jacht klubu, a dziadek pełni na nim wachty – przychodzi na swoją zmianę, czuwa nad porządkiem na pokładzie i nad załogą. Ileż ja czasu tam spędziłem, nawet mama nie wiedziała, jak często tam zaglądałem. Przychodziłem po szkole, dziadek pokazywał mi, co do czego służy. Wyjmował na przykład z drewnianej skrzynki sekstant i uczył mnie nawigowania. Dzielił się też ze mną marynistycznymi ciekawostkami. Bywało, że tam nawet nocowałem.

To nabrzeże to miejsce wielu ważnych dla mnie wydarzeń. Niedawno w 1978 roku, w moim zuchowym mundurku, żegnałem Dar Pomorza płynący do Hawany na zlot młodzieży socjalistycznej. Żaglowiec odpływał, my machaliśmy polskimi i kubańskimi chorągiewkami, a orkiestra Marynarki Wojennej okraszała ten podniosły moment muzyką. Myślę też o powitaniu dwa lata później Władysława Jaskuły, kiedy wpłynął na swojej maleńkiej żagłówce po samotnym rejsie dookoła świata. Jakaż to była radość!

Pewnego dnia wśród statków na redzie będzie ten mojego ojca, ale już bez niego na pokładzie. On już nigdy nie wróci do domu. Zszedł nielegalnie na ląd w mieście St. John's w kanadyjskiej Nowej Fundlandii i tam otrzymał azyl polityczny. Słyszałem o Vancouver, kojarzę też Toronto, widziałem nawet kiedyś w gazecie zdjęcie CN Tower, ale St. John's? Z mojej perspektywy to miasto mogłoby równie dobrze istnieć na innej planecie.

Chciałbym kiedyś zobaczyć przynajmniej część tych miejsc, w których był mój tata, chociażby po to, by sprawdzić, czy to, co o nich opowiada, to prawda, bo mówi czasem rzeczy niestworzone – że niby każda rodzina ma dom i samochód? Że niby w sklepach można bez problemu kupić wszystko,

czego tylko dusza zapragnie? Nie umiem sobie tego nawet wyobrazić. Ale jeżeli faktycznie tak jest, to mimo wszystko chciałbym to tylko zobaczyć, nie mam potrzeby, by się tam przeprowadzać. Myśl, że miałbym zostawić moich przyjaciół, rodzinę, szkołę i miasto, wydaje mi się abstrakcyjna.

Gdynia to miasto zanurzone w słonej, morskiej mgle. Jego zapach to dla mnie zapach domu. Czasami wiatr przynosi ze sobą przykrą woń bunkrowanego, okrętowego paliwa czy mączki rybnej, która jest akurat przeładowywana w porcie, ale jednak na co dzień zapach mojego miasta jest czysty i odświeżający. To powietrze przewiewa głowę, pozwala zebrać myśli. Chłonę wszystko, co mnie otacza, staram się zapamiętać każdy szczegół. Nie tylko miejskiej plaży, ale w ogóle całej Gdyni – parki, ulice, pomniki, towarzyszący mi codziennie miejski krajobraz, który znam tak dobrze i który kocham. Nie umiem sobie wyobrazić, jak bardzo będę za tym wszystkim tęsknił, jak będzie mi tego brakowało.

Myślę o tym, jak pewnego wieczoru, gdy mama szła, a my z Adamem byliśmy w łóżkach, w mieszkaniu rozległo się pukanie do drzwi. Rzadko kiedy ktoś tak późno nas odwiedzał, sytuacja była niecodzienna.

Wstaję i podchodzę do drzwi razem z mamą. U progu stoi dwóch ciemnowłosych mężczyzn, obydwaj po pięćdziesiątce, ubrani w luźne spodnie i kurtki. W pierwszej chwili z ulgą myślę, że pomylili piętra i szukają mieszkania sąsiadów. Nic z tego.

– Czy to mieszkanie państwa Łukaszuków?

Durne pytanie, myślę, przecież na drzwiach jest miedziana tabliczka – „H. B. T. A. Łukaszuk”. Panowie w końcu pokazują swoje legitymacje i wchodzi do środka. Są równie uprzejmi, co formalni. Siadają na sofie, mama usadowia się naprzeciwko nich za stołem, ja stoję nieco z tyłu. Mama prosi, żeby panowie zachowywali się cicho, bo Adam śpi. Rozmawia z nią tylko jeden z mężczyzn, w dodatku od razu przechodzi do sedna.

– Trzy dni temu pani mąż opuścił statek i zbiegł do kanadyjskiego portu. Jest to przestępstwo i państwo polskie domaga się jego powrotu. Czy wiedziała pani o jego planach?

Mama jest zaskoczona, ale nie zdziwiona. Wiedziała, że ojciec miał taki plan, że będzie próbował to zrobić, niejednokrotnie o tym rozmawiali, nie miała jednak pojęcia, kiedy ani gdzie się na to zdecyduje. O tym, że tata od zawsze szykował się do wyjazdu z Polski, została poinformowana jeszcze przed ślubem, gdy babcia Julia lojalnie ostrzegła ją, że jej syn marzy o emigracji i docelowo chce żyć za granicą. Zapewnia jednak agentów, że nie miała pojęcia o niczym i nie może zrozumieć, jak mąż mógł opuścić swoją rodzinę! Nie jestem pewien, czy jej wierzą, ale w końcu wstają z kanapy i kierują się do drzwi.

– Proszę się jutro stawić na posterunku milicji celem złożenia wyjaśnień – rzuca na koniec jeden z nich. – I proszę nie liczyć, że kiedykolwiek do niego dołączycie – dodał lodowato, zanim wyszli z mieszkania.

Mama strasznie się wtedy rozpląkała. Stałem przy niej, milcząc oszołomiony, nie pojmowałem, co dokładnie się wydarzyło. Po mojej głowie, niczym echo, ciągle przetaczały się słowa o opuszczeniu statku, przestępstwie i Kanadzie. Po chwili mama zapewniła mnie, że wszystko będzie dobrze, chociaż nie mogła mieć przecież żadnej pewności. W końcu wróciłem do łóżka, ale jeszcze długo nie mogłem zasnąć. Słyszałem, jak pracuje na maszynie i szłocha.

Pada coraz mocniej. Krople rozbijają się o grzbiety łodzi. Już niedługo będę chować się przed deszczem padającym z nie mojego, kanadyjskiego nieba. Tam też jest morze, ale co mi po nim, skoro to nie Bałtyk? Myślę o tym, że nie zobaczę już więcej Małgosi. Ma długie, ciemne włosy i prawie czarne oczy. Odprowadzam ją często do domu po szkole, noszę za nią książki. Bardzo mi się podoba, ale nie mam odwagi jej tego powiedzieć.

Często w klasie się w nią wpatruję i ona chyba o tym wie... mam przynajmniej taką nadzieję. Nie spotkam się już też z Maćkiem, najlepszym uczniem w klasie, ani z Mariuszem i Olkiem, innymi członkami naszej bandy, czy z Krzyśkiem, sierotą wychowywaną przez babcię. Rywalizujemy ze sobą o jak najlepsze stopnie. Jest też mój imiennik, Tomek. Jego tata wyjechał swego czasu do pracy do Szwecji i zarobił tyle, że kupił i wysłał statkiem do Gdyni nowiuteńką, czerwoną Lancię. Wszyscy im jej zazdrościmy! Wśród maluchów, Wartburgów i Trabantów wypełniających parking pod blokiem, ona wygląda niczym pojazd kosmiczny! Tomek nie pozwala nam się nawet do niej zbliżyć, z kolei jego ojciec pucuje ją kilka razy w tygodniu i prawie nią nie jeździ, bo mu szkoda. To bardziej zdobycz niż samochód. Zazdroszczę im tego auta, ogromnie chciałbym przekonać się, jak to jest przejechać się takim cackiem.

Jakiś czas później mama innego kolegi po wielotygodniowej pracy w Szwecji kupiła używane Volvo kombi. W przeciwieństwie do Tomka, Czarek pozwala mi wejść do auta. Jestem zachwycony! Kilka dekad później Czarek odnajdzie mnie w Kanadzie. Okaże się, że mieszka w Vancouver...

W moim bloku mieszka też Jarek. Jego rodzice są po rozwodzie i jeden tydzień przebywa z mamą, drugi z tatą. Pilnuję, kiedy jest u mamy, żebyśmy mogli się spotkać i razem pobawić. Jarek nigdy nie mówi o swoim ojcu, nie wiadomo nawet, gdzie on mieszka. Mnie też nikt nie pyta o ojca, chociaż podejrzewam, że wiele osób wie, co się dzieje. Mam wrażenie, że dzieciaki mi zazdroszczą, że niedługo wyprowadzę się na Zachód. Inaczej na mnie patrzą, z ukosa, uważniej. Skąd wiedzą? Słyszą rozmowy swych rodziców, wymowne niedopowiedzenia sąsiadów...

Mama mówi, że w Kanadzie czeka nas lepsze życie, ale skąd ma to wiedzieć, przecież też nigdy tam nie była! Jakim cudem gdziekolwiek może

być lepiej niż w domu, nawet z tym komunizmem, niedostatkami wszystkiego i w malutkim mieszkaniu? Wcale nie chcę wyjeżdżać z Polski, tu jest moje życie, tu jestem szczęśliwy. Krewni i niektórzy wtajemniczeni pocieszają, że to będzie dla nas nowy początek, a przecież taki nowy początek oznacza koniec czegoś, co było przed nim. I ciągle mówią o tym, co tu za sobą zostawimy, jakby to wszystko nie miało żadnego znaczenia. Tu jest szaro i smutno, tam będzie kolorowo i wesoło. Nikt nie bierze pod uwagę bólu, jaki towarzyszy zakończeniu dosłownie wszystkiego, co miało do tej pory jedyny znany mi sens życia.

W Polsce jest się bardziej obywatelem swojego miasta niż kraju. Mieszka się w nim najczęściej całe życie, ma się tu krewnych i przyjaciół. Aż trudno mi uwierzyć w to, że nie zobaczę więcej ani babci, ani dziadka, że już nigdy z nim nie pomajsterkuję, że nie nauczy mnie naprawiać kolejnych rzeczy. Już się z nimi pożegnaliśmy, trochę na wyrost, bo nie wiemy, kiedy dokładnie będziemy wyjeżdżać, to może się wydarzyć dosłownie z dnia na dzień.

Dziadek płakał. Kazał obiecać, że będę dbał o mamę. I chociaż wiedział, że jedziemy do Kanady, nie do Stanów Zjednoczonych, uśmiechnął się przez łzy i poprosił żartobliwie:

– Pozdrów ode mnie Reagana.

Myślę o dziadku. To prawdziwa złota rączka. Wszystko naprawi, zmontuje, zbuduje. A to płot, a to sanki. Właśnie! Czy w Kanadzie jest gdzie jeździć na sankach? Mam nadzieję, że tak, bo to uwielbiam. Kiedyś, gdy zjeżdżałem z góry w centrum miasta, utraciłem kontrolę nad sankami i uderzyłem w płot tak mocno, że aż mnie zatkało i przez moment nie mogłem oddychać. Nigdy nie powiedziałem o tym mamie, bo nie pozwoliłaby mi więcej tam jeździć.

Mama kupiła słownik polsko-angielski. Długo go szukała, musiała się zapisać w księgarni na listę oczekujących. Czuła, że wcześniej lub później nam się przyda. Równie pragmatycznie zachowała się, gdy zaczęła ubiegać się dla naszej trójki o kanadyjską wizę. Przyznano nam ją, i to bezterminowo, ale nie wiadomo, kiedy będziemy mieli szansę z niej skorzystać.

Od momentu, kiedy ojciec poprosił o azyl w Kanadzie, nie mieliśmy od niego żadnych wieści. Mama starała się go szukać, a to przez Polski Czerwony Krzyż, a to przez Ambasadę Kanady. Ponieważ jednak w Kanadzie nie ma obowiązkowego meldunku, to próba znalezienia kogoś, o kim nie ma się żadnych konkretnych informacji, przypominała szukanie igły w stogu siana. Ambasada odmówiła nam pomocy, tłumacząc, że takie sprawy nie należą do jej zadań, zasugerowano nam jednak, że polskie władze prawdopodobnie przechwytują korespondencję od niego.

Półtora roku po tym, jak ojciec znalazł się w St. John's, w końcu dostaliśmy od niego list. Nie dotarł jednak w kopercie, jak to zwykle bywa, ale w foliowej torebce z napisem „korespondencja uszkodzona”. Okazało się, że z całego tekstu powycinane zostały a to pojedyncze zdania, a to całe fragmenty, i po rozłożeniu bardziej przypominał koronkową kurpiowską wycinankę niż typową depeszę. Dowiedzieliśmy się jednak, że tata żyje, co było dla całej rodziny niemałą ulgą. Takie pocięte listy przychodziły do nas jeszcze kilkakrotnie.

Pewnego razu, późnym wieczorem, ktoś zapukał do naszych drzwi. Mama uchyliła je i zobaczyła stojącego za nimi nieznanego mężczyznę. Od razu domyśliliśmy się, że to marynarz, oni zawsze wyróżniali się zachodnim ubiorem albo zapachem droższej wody kolońskiej lub lepszej jakości papierosów. W rękach trzymał kilka pękato wypchanych reklamówek.

– Dobry wieczór, przepraszam, że nachodzę panią o takiej porze, ale czy mogę na chwilę wejść? Chciałbym porozmawiać.

– Kim pan jest? – spytała mama, poprawiając kołnierz przy podomce, by szczególnie się okryć.

– Wszystko wyjaśnię, ale nie na klatce schodowej. Bardzo proszę mnie wpuścić, zajmę pani najwyżej kilka minut.

Mama otworzyła drzwi szerzej, by nieznajomy wszedł do środka. Okazało się, że tajemniczy człowiek, będąc w porcie w Vancouver, został zaczepiony przez mojego ojca i poproszony o przekazanie dla nas kilku prezentów. Nie mieliśmy pojęcia, że on jest teraz w zachodniej Kanadzie! Mężczyzna przyznał, że rozmawiał z nim zaledwie kilka minut, w czasie których ojciec poprosił go o przysługę odwiedzenia nas, a przy okazji przekazał też prezenty dla jego rodziny, by wynagrodzić mu to, że zgodził się pomóc. Podekscytowani, mieliśmy mnóstwo pytań – jak on wygląda, jak się czuje, co robi w Vancouver – niestety, marynarz, poza tym, że przekazał nam, iż ojciec wyglądał na zdrowego, nie miał dla nas więcej odpowiedzi. Widział się z nim w przelocie i nie miał z nim już potem żadnego kontaktu. To, o co poprosił go tata, było nielegalne – nie tylko przywiózł nam nieocloniony towar, za co już mogły spotkać go nieprzyjemności, ale pomoc uciekinierom była absolutnie zakazana, stąd nerwowość naszego gościa i chęć rozmowy w mieszkaniu, bez ewentualnych przypadkowych świadków na klatce schodowej. Sporo dla nas zaryzykował.

Mama dostała od taty porządne rajstopy, których w Polsce brakowało, a my z Adamem słodyczne, kombinezony na zimę, a także samochód i czołg sterowane pilotami. Gdy puszczałyśmy je w podziemnym przejściu pod dworcem PKP, mijający nas ludzie masowo zatrzymywali się, by popatrzeć na nasze zabawki. Niestety, nie mogliśmy z nich zbyt często korzystać, bo

w Polsce brakowało baterii, więc trzeba było oszczędzać te, które jakimś cudem mamie udawało się dostać.

Rozmyślałam o tym, że gdzieś tam w Kanadzie stoi dom, w którym zaczniemy nowe życie. Podobno będziemy mieli wszystkiego pod dostatkiem, na przykład jedzenia. Nie pamiętam jednak, żebyśmy w Gdyni kiedykolwiek głodowali. Chleb z dżemem mogę jeść na okrągło, niewiele więcej mi potrzeba. Taka kanapka świetnie smakuje z masłem, ale masło to rarytas, rzadko można je dostać. Sporo żywności udaje się dostać nielegalnie, od rolników. Często jemy kluski, ziemniaki, zupy. Mało mięsa, dużo warzyw. Mama nieźle gotuje, potrafi zrobić coś z niczego. Często stoi w niekończących się kolejkach, by wykupić nasz kartkowy przydział na różne produkty, zdarza się też, że płaci seniorom, by trzymali jej miejsce i stali za nią przez kilka godzin, a sama idzie do domu szyć.

Mam wypracowaną rutynę przed szkołą: idę do sklepu Społem, który jest naprzeciwko naszego bloku, kupuję chleb albo bułki, zależy, co akurat jest dostępne. Czasami się dziwię, gdy ekspedientka mówi, że ma tylko wczorajszy chleb, ale przecież jak byłem w sklepie wczoraj, to mówiła, że chleba nie ma... to jak to jest? Nieczęsto mamy okazję spałaszować coś słodkiego, ale potrafimy sami przyrządzić sobie karmelki. Mama kupuje cukier na kartki – wiele towarów jest na kartki, ale handluje się również nimi samymi. Ponieważ mama nie pije alkoholu, wymienia z sąsiadami kartki na niego na te na mięso lub właśnie cukier, który potem wrzuca na patelnię z tłuszczem drobiowym albo smalcem, dodaje śmietanę lub mleko, a gdy wszystko się zagotuje, zdejmuje patelnię z ognia i czeka, aż wystygnie.

Jest chłodno. Bałtyk ma bardzo niskie zasolenie, co oznacza, że zimą robi się tu tak mroźnie, że potrafi zamarznąć część zatoki. Dziadek Edward opowiadał mi, że zdarzało się w historii, iż w wyniku wyjątkowo srogiej

zimy całe morze skuwał tak gruby lód, że można było wybrać się saniami do samej Szwecji i z powrotem. Nie jestem pewien, czy to prawda, ale jeżeli tak, to sam chętnie bym się tak przejechał!

A właśnie, Szwecja. Niedaleko plaży szwedzka firma buduje elegancki hotel. Cały teren jest ogrodzony płotem, ale wraz z kolegami spędzamy mnóstwo czasu, przyglądając się toczącym się robotom. Firma sprowadziła swoje własne maszyny i ciężarówki marki Volvo, które wyglądają imponująco. Któregoś razu dostrzegliśmy, że budowlańcy używają specjalnych pistoletów do wbijania haków w beton, a za naboje służą im do tego małe ładunki wybuchowe. Raz udało nam się wykraść jeden taki pistolet i pół dnia wbijaliśmy haki w chodnikowe kostki, a jak któryś nie wszedł do końca, to poprawialiśmy go młotkiem. Cud, że nikomu nic się nie stało.

Patrzeć w morską toń przynosi mi zwykle spokój i poczucie wolności, w końcu to droga prowadząca na świat. Obecnie jednak, z powodu decyzji ojca, ten spokój jest zmacony – wiem już, że morze niby otwiera wszelkie drzwi, ale przecież nie sprowadzi mnie z powrotem do domu.

Mój tata, Bogdan Łukaszuk, to człowiek, wobec którego odczuwam dystans. Nie mieliśmy okazji zbudować prawdziwej więzi, zwykle lepiej czułem się na morzu niż w domu, nigdy nie mieliśmy co do tego żadnych wątpliwości. To rodzinne niedopasowanie przebija się nawet w naszym wyglądzie – ojciec ma ciemne włosy, a mama, ja i Adam – blond. Jest cichym mężczyzną, który zatapia się w gazetach albo siada w fotelu, ładuje liście tytoniu do główki fajki, potem lekko pyka i mieszkanie wypełnia całkiem przyjemny zapach tytoniu. Mama wtedy wyciąga swoje papierosy i też pali, dla towarzystwa.

Za każdym razem wraca opalony. Kiedyś pojawił się w domu kilka tygodni później, niż było to planowane, bo gdy płynęli w kierunku Kanału

Sueskiego, jego statek został przechwycony przez straż przybrzeżną jednego z afrykańskich państw. Funkcjonariusze doszukali się naruszenia przez jednostkę wód terytorialnych ich kraju. Zaskoczony kapitan podjął decyzję, by płynąć całą naprzód. Straż odpowiedziała ogniem i przebiła kadłub. Nie mając innego wyjścia, zawinęli do stoczni na naprawę, a czekanie na dalszą drogę załoga umilała sobie głównie siedzeniem na plaży. Ojciec wrócił tak opalony, że go nie poznałem. Nie pierwszy zresztą raz. Kiedy byłem mały, regularnie go nie rozpoznawałem, gdy wracał do domu po wielu miesiącach nieobecności. Czasami miał brodę, czasami nie, wielokrotnie z początku nie wiedziałem, kim jest, i zawsze musiałem się oswajać z jego obecnością w domu. Obecnością i tak ograniczoną, bo chociaż schodził na ląd, to i tak musiał pełnić na statku wachty i znikał codziennie na wiele godzin, bywało, że na całą noc.

Pewnego razu jego jednostka stała na suchym doku w Gdańsku i wówczas nadarzyła się okazja, żebyśmy mogli odwiedzić ojca w miejscu pracy. Zabrał mnie wtedy na mostek, pokazał, jak działa radar, pozwolił pokręcić kołem sterowym. Ależ to było wspaniałe przeżycie! Tata opowiadał mi wiele morskich ciekawostek. A to o chrzcie, jaki przechodzi każdy marynarz, gdy pierwszy raz przekracza równik – chrzci go sam Neptun! – a to o tym, jak zupełnie zmienia się nawigacja, gdy płynie się po półkuli południowej.

Nieraz mówił o miastach, które zobaczył – czasami, gdy statek akurat pobiera paliwo lub uzupełniane są zapasy wody i prowiantu, członkom załogi udaje się zejść na ląd i zwiedzić okolicę, ale tylko w asyście członków partii pilnujących, by marynarze w komplecie wrócili na pokład. Opowiadał o sklepach tak załadowanych towarem, że pod jego ciężarem uginają się półki, o tym, w jak wspaniałych domach żyją ludzie i jak stać ich na wszystko, co tylko sobie zamarzą. Brzmi to aż za dobrze, dlatego

podejrzewam, że ojciec trochę koloryzuje i upiększa. No bo jak to, specjalne autobusy przyjeżdżają po dzieci i odwożą je do szkoły, a potem do domu? Serio? I niby w sobotę nie ma lekcji, a w Boże Narodzenie wszystkie sklepy i domy są ozdobione lampkami? U nas tylko u Mariusza w mieszkaniu widziałem wieszaną w święta na oknie piękną gwiazdę, wszędzie indziej jest szaroburo, jedynym źródłem kolorów są lampki na choinkach. Ojciec zapewnia mnie nawet, że widział cmentarze dla zwierząt. No, to już w ogóle jest przesada.

Mało wie o naszym życiu bez niego. Nigdy nie przychodzi do mojej szkoły, nie zna moich nauczycieli, podejrzewam, że nie do końca orientuje się, w której mogę być klasie. Z całą pewnością nie ma bladego pojęcia o tym, że podoba mi się Małgosia, ani o tym, że w przyszłym tygodniu mam się bić z Krzyśkiem, który pokonał mnie już kilka razy z rzędu i czas najwyższy, żebym mu się w końcu odwinął. Co więcej, ojciec nie bardzo radzi sobie z komunistyczną codziennością, ze stanieniem w kolejkach, z ciągłymi niedoborami różnych towarów i produktów. Na statku wszystkiego jest pod dostatkiem i na wyciągnięcie ręki, zatem nie rozumie prawideł, którymi rządzi się codziennie życie w PRL-u.

Kiedyś przywiózł mi puszkę 7Up. Byłem w szoku, widząc, jak jest kolorowa. Napój był przepyszny, sącyłem go cały tydzień! Dzięki jego pracy skosztowaliśmy również słodkiego amerykańskiego pieczywa pakowanego w woreczki, całkiem innego od naszego żytniego lub razowego chleba. Tata przywoził też gumę do żucia, mazaki czy kolorowe gumki do ścierania, którymi dzieliłem się z przyjaciółmi.

Co mi z tego, że będę żył w kraju, gdzie jest w bród mazaków i słodczy, jeśli stracę wszystkich, na których mi zależy?

Dopinam kurtkę, chroniąc się przed coraz zimniejszymi podmuchami wiatru. Wychodzę spomiędzy łódek i ruszam do domu. Deszcz zacina coraz

mocniej i już sam nie wiem, czy wilgoć na policzku to efekt kropli, czy moich łez.

Dalsza część w wersji pełnej

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Spis treści

Przedmowa

Polacy w kanadyjskiej polityce

Emigracyjna historia Thomasa Łukaszuka